



Niepieleśniarki

O Høje Søborg Park, senioralnym co-housingu z Søborg w Danii, opowiadają:

Ruth (83 lata), współzałożycielka i rezydentka
Minna (67 lat), rezydentka

MOTYWACJA

Minna: Można by pomyśleć, że w Danii, mateczniku co-housingu, dla każdego znajdzie się miejsce we wspólnocie. Gdzie tam. Ludzie latami wiszą na listach oczekujących, zwłaszcza jeśli chcą wynajmować. Szacuje się, że mamy 8 tysięcy miejsc w co-housingach, a potrzebujemy 18. To trochę efekt kuli śnieżnej. Im więcej osób tak żyje, tym więcej się o tym dowiaduje i potem są kolejni zainteresowani. Co-housing nie jest już niszowym sposobem na życie, owianym aurą tajemnicy. To po prostu jeden z dostępnych modeli.

Większość wspólnot ma górny limit wieku na wejściu – zwykle to 65, 70 lat. Trudno jest zmotywować pięćdziesięciolatka do myślenia o starości, większość jeszcze ten temat wypiera. Ale jeśli interesuje cię senioralny co-



housing, to właśnie wtedy powinnaś rozejrzeć się za miejscem i wpisać na listę. Inaczej będzie za późno.

POCZĄTKI

Ruth: Nasza historia to dość typowy duński scenariusz. Byliśmy grupką znajomych i około 2000 roku zaczęliśmy się zastanawiać, jak będzie wyglądała nasza starość. Nie mieliśmy dużych rodzin, ale chcieliśmy żyć we wspólnocie. Żyć aktywnie. Byliśmy zainspirowani innymi grupami, które zakładały swoje co-housingi.

Potem były długie poszukiwania ziemi i publicznej firmy, która pomoże nam wybudować to miejsce. Mamy rozbudowany system mieszkalnictwa społecznego. Grupy co-housingowe mogą wejść w partnerstwo z publicznymi stowarzyszenia ds. mieszkaniowych, które za pieniądze z gminy czy magistratu budują dla nich domy. My dogadaliśmy się z DAB (Dansk Almennyttigt Boligselskab), jedną z największych i najstarszych instytucji tego typu. Działają non profit. Oni znaleźli dla nas ziemię i wybudowali domy, które teraz nam wynajmują.

Minna: Cały proces – od zawiązania się grupy do przeprowadzki – zajął 8 lat. To wszystko trwa dłużej, jeśli budujesz na wynajem. Procedury są wtedy bardziej skomplikowane, poza tym trudniej jest znaleźć ziemię, bo gminy wolą kupców. Większość emerytów chce wynajmować. Wspólnoty na



tym zyskują, bo dostęp do nich mają wszyscy, nie tylko ludzie z pieniędzmi. A jednak, kiedy zapytałam w magistracie, czemu nie zbudują więcej co-housingów na wynajem dla starszych osób, usłyszałam, że chętniej widzieliby tu rodziny z dziećmi. To jest ageizm. Urzędnicy nie chcą mieć na swoim terenie za wielu emerytów, bo nie nakręcamy gospodarki tak, jak młodzi.

WSPÓLNOTA

Ruth: Wprowadziliśmy się w 2008 roku

Minna: Ja dołączyłam w 2015.

Ruth: Jeszcze w procesie budowania co-housingu, kiedy spotykaliśmy co tydzień, spisaliśmy regulamin. Poza wspólnotowymi klasykami typu „wzajemny szacunek” czy „wymiana doświadczeń” zobowiązaliśmy się dawać sobie „sąsiedzką pomoc po wyjściu ze szpitala” i wypatrywać od siebie nawzajem „znaków życia”.

Minna: Jesteśmy na to wyczuleni, zwłaszcza, kiedy ktoś jest chory. Natomiast mamy we wspólnocie takiego 90-lątka, który jest zdrowy, ale niespecjalnie aktywny i przyznam, że zdarza nam się o nim zapomnieć przez kilka dni.



Minna: Jest nas 30 osób w 24 domach i to jest trochę mało. Wolałabym 30 domów, ale niestety zabrakło na to terenu. W miarę jak się starzejemy, jest nas coraz mniej. Dwuosobowe mieszkania stają się jednoosobowe. A ludzie słabną, brakuje im sił, żeby pracować w ogrodzie czy po prostu być razem.

Ruth: Mamy 8 domów dla par i 16 dla singli, świetna proporcja. Problem z parami jest taki, że są wsobne. Lubią siedzieć w mieszkaniach, nie uczestniczą we wspólnym życiu równie chętnie, co single. My obie mieszkamy same. Mamy oczywiście więcej kobiet – 20 do 10. Czy w ogóle są jakieś wspólnoty z przewagą mężczyzn? Nie słyszałam o takiej. Kobiety żyją dłużej, są lepsze we współmieszkanii i na ogół myślą bardziej przyszłościowo. Nieraz nam się zdarzyło, że wpisaliśmy jakiegoś mężczyznę na listę oczekujących do domu dla singla, ale kiedy przyszła jego kolej, oznajmił, że: to nieaktualne, bo znalazł już nową partnerkę. Mężczyznom jest chyba trudniej żyć w pojedynkę, są mniej samowystarczalni.

Minna: Dzięki temu, że wynajmujemy mieszkania, nie jesteśmy bańką uprzywilejowanych. Niektórzy są zamożni, inni nie. Niektórzy mają wyższe wykształcenie, inni nie.

Ruth: Czy coś nas łączy charakterologicznie? Chyba tylko to, że świadomie podjęliśmy decyzję o przeprowadzce i wiemy, po co tu jesteśmy. Dla ludzi z zewnątrz co-housing potrafi być niezrozumiały. Nie umieją myśleć wspólnotowo. W tym sensie owszem, mieszka tu określony typ ludzi.



Minna: Czasami słyszymy od kandydatów: „Nie martwcie się, nie będziemy wam siedzieć na głowach. Mamy jacht i całą zimę spędzamy zwykle na Morzu Śródziemnym”. Odpowiadamy, że w takim razie nie mają szans. Chcemy sąsiadów, którzy będą tu żyć.

Ruth: Zanim się wprowadziłam, mieszkałam we własnym mieszkaniu, mimo to nie miałam problemu z adaptacją. Chyba nigdy nie łudziłam się, że łatwo jest żyć z ludźmi.

Minna: Ja z kolei całe życie mieszkałam grupowo. Wychowywałam dzieci w domu wielorodzinnym, gdzie każda rodzina miała swoje mieszkanie, ale ogród, piwnica i pralka były wspólne. Byłam przygotowana na co-housing. Na pewno życie tutaj mnie zmieniło. Trudno jednak oddzielić zmiany zachodzące w człowieku z powodu współmieszkania od tych, które powoduje starzenie się, bo te procesy dzieją się równolegle.

ARCHITEKTURA

Ruth: Za projekt co-housingu odpowiadał DAB. Podczas spotkań pytali nas, jakie mamy potrzeby, jaką wizję przestrzeni, a potem przedstawili trzy scenariusze. Wybraliśmy jeden. Szczerze mówiąc, niewiele z tego procesu pamiętam. Nie interesowała mnie architektura, tylko wspólnota.

Minna: Uważam, że większość rozwiązań jest udana. Fajnie np., że mamy wspólne pokoje dla gości. Natomiast można było lepiej przemyśleć, jak



pada tu światło. Budynek są tak ustawione, że przez większość czasu mamy słońce w tylnych ogrodach, które są prywatne. Nie widać stamtąd sąsiadów, nikt nie podejrze i nie powie: „Cześć! Jak się masz?”. Gdyby domy były inaczej ułożone, być może częściej byśmy ze sobą rozmawiali.

ORGANIZACJA

Ruth: Decyzje podejmujemy demokratycznie. Przez te 12 lat musieliśmy zmienić część zasad, które wypisaliśmy na początku, bo ustalać coś na sucho to jedno, a mieszkać razem to zupełnie inna bajka. Na początku np. mile widziane były zwierzęta. Dziś wolno mieć kota, ale tylko w domu, a na psy nie ma zgody. Chodzi o to, że jeśli ktoś przygarnie psa, to inni też będą chcieli i wylądujemy z 24 psami. A one hałasują. No i pojawia się problem, kiedy opiekun idzie do szpitala albo umiera. Kto zajmie się jego psem?

Minna: Dużo razem robimy, po to tu jesteśmy. Co wtorek rano kobiety spotykają się na kawę i pogawędkę. Co piątek jest kawa dla wszystkich, którzy chcą pogadać o polityce czy kulturze. W niedzielę znów kawa w ogrodzie. Sporo tej kawy pijemy. Wieczorami oglądamy filmy. Poza tym chodzimy na wystawy, mamy klub książki. Zapraszamy też ludzi, którzy robią nam wykłady.

Ruth: Jemy razem co miesiąc, a raz w roku każdy musi zorganizować albo ugotować posiłek dla wszystkich – w kiluosobowym zespole. Oprócz tego



cztery razy w roku każdy powinien posprzątać wspólny budynek, też zespołowo.

TRUDNOŚCI

Minna: Nie mamy sztywnych reguł dotyczących konfliktów, raczej staramy się mediować, zagadywać obie strony: „Hej, rozmawiałeś już ze swoim sąsiadem?”. Natomiast zaskoczyło mnie to, jak niektórzy ludzie są małostkowi. Bywa, że debatujemy nad czymś godzinami, bo komuś jest szkoda dodatkowych 10 koron miesięcznie (6 zł). Nie chodzi o brak pieniędzy, ta osoba mówi np. „Nie mam w tym interesu”. I nieważne, że to jest dobre dla wspólnoty. Po duńsku mówi się, że taki ktoś nosi małe buty.

NOWI CZŁONKOWIE

Minna: Nie mamy limitu wiekowego przy przeprowadzce. Skoro kolejki są takie długie, to nie w porządku byłoby odrzucić kogoś, kto zestarzał się, czekając na swoje miejsce. Ale z tego powodu nie wpisujemy na listę oczekujących osób powyżej 70. roku życia. Kiedy kontaktuje się z nami zainteresowany, najpierw pytam, ile ma lat. Jeśli np. 75, mówię szczerze, że jest za późno. Nie chcę marnować jego czasu. Potem proces wygląda tak, że kandydaci piszą do nas list motywacyjny. Na tej podstawie zapraszamy niektórych na spotkanie. Rozmawiamy z pięcioma osobami jednocześnie, przez ok. godzinę. Sprawdzamy, czy się



dogadujemy. Potem podejmujemy decyzję, kogo wpisać na listę. To kluczowy moment, bo jeśli ktoś już jest na liście, to nie możemy go z niej wyrzucić.

Ruth: Zdarzyła nam się wielka wpadka. Przyjęliśmy kogoś, kto podczas rekrutacji wydawał się fajny, a we współmieszkaniu okazał się okropny. Chyba nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo zmieni się jego życie i nie rozumiał idei wspólnotowości. A my utknęliśmy z nim na 10 lat. Przyjmowanie do co-housingu przypomina rekrutację do pracy, tylko że stąd nikogo nie zwolniesz.

ZDROWIE

Minna: Jeśli jesteś obłożnie chory albo masz zaawansowaną demencję, nie wpiszemy cię na listę. Są ludzie, którzy chcieliby dołączyć, żeby sąsiedzi zastąpili im dom opieki czy hospicjum. Nie o to tu chodzi. To jest miejsce, gdzie chcemy być aktywni.

Ruth: Oczywiście kiedy ktoś z mieszkańców zachoruje, to inna sprawa, tylko musi zaaranżować sobie profesjonalną pomoc. Nie będziemy nikogo karmić ani przewijać – to jest rola rodziny i państwa. Opiekujemy się sobą jak przyjaciółki, nie pielęgniarki.

Ada Petriczko



